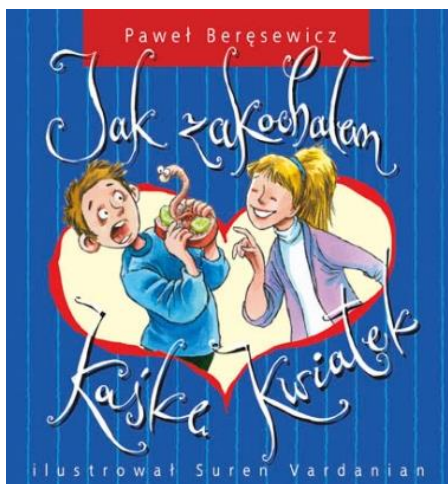




Jest chyba rzeczą naturalną, że kiedy już się człowiekowi przydarzy zakochać, bardzo liczy na odwzajemnienie swojego zakochania, a co śmielsi próbują nawet owo odwzajemnione zakochanie wywołać. Co prawda, ze śmiałością nie było u mnie najlepiej, ale postanowiłem, że ze względu na dość zaawansowany stopień zakochania powinienem znaleźć w sobie jakieś ukryte pokłady odwagi i podjąć stosowne działania.

Nie zamierzałem się do Kaśki Kwiatek p o d w a l a ć. (Podwalanie polega na głośnym bekaniu, zabieraniu czapki i publicznym dręczeniu klasowego ofermy Tadka Cichonia). Podwalanie pasowało do Piotrka, ale

nie do mnie.

Nie zamierzałem Kaśki Kwiatek p o d r y w a ć. (Podrywanie polega na byciu cool, żuciu gumy i mówieniu „cześć mała!”). Podrywać można zwyczajne dziewczyny. W przypadku Kaśki to w ogóle nie wchodziło w grę.

Nie zamierzałem się do Kaśki Kwiatek z a l e c a ć. (Zalecanie polega na przynoszeniu kwiatków, słodkich uśmieszkach i ogólnym podlizywaniu). Chłopacy umarliby ze śmiechu – a ja jeszcze wcześniej ze wstydu.

Według słownika mogłem ewentualnie do Kaśki Kwiatek startować, umizgać się, flirtować z nią, smalić do niej cholewki i sadzić koperczaki. Żadna z tych propozycji nie brzmiała zbyt poważnie, a ja miałem bardzo poważne zamiary. W końcu przyszło mi do głowy, że skoro zakochałem się, to czemu nie miałbym spróbować zakochać i Kaśki. Takie rozwiązanie wydało mi się rozsądne, godne i sprawiedliwe. To jest to! – pomyślałem. – Muszę zakochać Kaśkę Kwiatek!

Oczywiście, zanim zacząłem Kaśkę Kwiatek zakochiwać, postanowiłem na chłodno przeanalizować swoje mocne i słabe strony, żeby na tej podstawie opracować jakiś sensowny plan działania.

Jeżeli chodzi o wzrost, nie wyróżniałem się specjalnie ani w jedną, ani w drugą stronę. Miałem wprawdzie wysokich rodziców i duże szanse na to, że kiedyś pójdę w ich ślady, ale nie zamierzałem czekać z zakochiwaniem Kaśki Kwiatek do czasu, aż wreszcie urosnę. Byłem niezbyt gruby i niezbyt szczupły, niezbyt umięśniony i niezbyt chuderlawy – jednym słowem (w zależności od nastroju) – albo „w sam raz” albo „ni to, ni owo”.

„Przystojniaczek z tego pani wnuczka!” – powiedziała kiedyś babci jej sąsiadka, pani Halina, a ponieważ babcia nie ma innych wnuczków, zakładałam, że chodziło o mnie. (...) Kiedy próbowałem przed lustrem sprawdzić, czy pani Halina miała rację, czasami wydawało mi się, że jak najbardziej, a czasami nachodziły mnie wątpliwości. Po długich obserwacjach zauważyłem, że moja przystojność zależy od ustawienia głowy. Ogólnie stwierdziłem, że mój lewy profil prezentuje się lepiej niż prawy, zwłaszcza kiedy przekręcam głowę pod niewielkim kątem, pochylam ją trochę do przodu i rzucam spod brwi głębokie, łagodne i moim zdaniem nawet całkiem mądre spojrzenie. Prawy profil, niestety, nie był równie udany, ale za to właśnie z tej strony, tuż nad brwią miałem dość wyraźną półtoracentymetrową bliznę. Gdzieś czytałem, że blizna podkreśla męskość wyglądu i że

dziewczyny zwracają na to uwagę. Blizna co prawda pozostała po ranie, którą zadała mi młodsza siostra, kiedy w przyпадку wściekłości cisnęła we mnie łyżką, ale w końcu nie musiałem zaraz Kaśce Kwiatek o tym opowiadać.

Jednak – byłem o tym głęboko przekonany – moje główne zalety kryły się we wnętrzu. Nie miałem wprawdzie nic przeciwko kotletom schabowym i kiełbasie, a także nigdy nie było mi dane spotkać się oko w oko z osobą innej rasy, tak żebym mógł ją z szacunkiem potraktować, ale za to nie interesowały mnie tylko konsumpcja i sprawy materialne. Interesowała mnie również piłka nożna, a gdyby była taka konieczność, mogłoby mnie zainteresować nawet jeszcze więcej rzeczy. Nie chwając się, sporo wiedziałem i z większości przedmiotów miałem całkiem dobre stopnie, ale najbardziej ceniłem w sobie poczucie humoru.

(...) Naprawdę byłem w tym niezły. Gdyby tylko Piotrek mi się bez przerwy nie wcinął z tymi swoimi żałosnymi dowcipami!

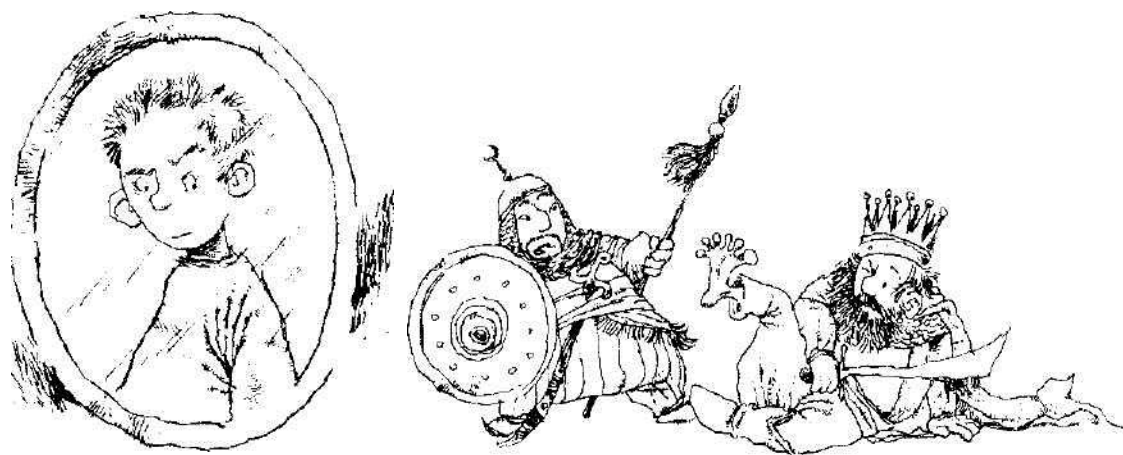
Na szczęście miałem coś, w czym nawet Piotrek nie mógł mnie zakasować. To był mój as w skarpetce, nieoceniony skarb i ostateczny argument – szósty palec u nogi! Podobny ozdobił stopę Henryka Pobożnego, co pozwoliło rozpoznać ciało księcia po bitwie pod Legnicą (choć oczywiście miałem nadzieję, że z Kaśką Kwiatek pójdzie mi lepiej niż Henrykowi z Tatarami). Ciekawy ów dodatek wyrastał sobie skromnie tuż obok małego paluszka i budził podziw każdego, kto zasłużył na to, żeby go obejrzeć. A zasłużyło naprawdę niewielu! Postanowiłem na razie trzymać tajną broń w odwodzie i najpierw roztoczyć przed Kaśką Kwiatek moje pozostałe uroki. Dobrze wiedziałem, że zagranie szóstym palcem to ostateczność, bo komuś, kto raz go zobaczył, nie byłbym już w stanie niczym zaimponować.

Gdyby to wszystko było całą prawdą o mnie, uważałbym, że ostateczny sukces jest tylko kwestią czasu. Niestety, w rzeczywistości sprawa nie wyglądała aż tak różowo, bo jak miecz Damoklesa wisiał nade mną pewien mroczny sekret, który, użyty przez wrogów, mógł mi zrujnować życie. Ta moja zmora, nieszczęście i piętno miały na imię Pikus. Właściwie to Pikusiem byłem ja sam, a przynajmniej moi rodzice kiedyś dawno temu wpadli na beznadziejny pomysł, żeby tak się do mnie zwracać. (...) Nawet nie chciałem myśleć, co by się stało, gdyby Kaśka Kwiatek dowiedziała się o Pikusiu.

Pikus był moim głównym zmartwieniem, ale nie jedynym. Natura, która tak hojnie sypnęła palcami u nóg, dla przeciwwagi postanowiła doświadczyć mnie przekleństwem czerwienienia się. Wystarczyło najmniejsze zawstydzenie i na moich policzkach wykwitał wstrętny buraczany rumieniec. Nie było na niego sposobu. Ileż to razy próbowałem powstrzymać go siłą woli – na próżno! (...) Czasami dochodziło do tego, że wolałbym już nawet mieć tylko pięć palców u nogi, byleby się tak beznadziejnie nie czerwienić.

Świadomość ułomności tak mnie osłabiła, że z dzikim impetem zwała się na mnie fala bolesnych wspomnień o moich życiowych katastrofach. Stała mi przed oczami ostatnia przestana dyskoteka, publiczne rozdarcie spodni w wielce wstydlwym miejscu, pewna niezbyt chlubna ucieczka z pola walki i sromotna klęska w siłowaniu się na rękę z Jolką (miałem wtedy nadwergężony mięsień). Poczułem ogromny dławiący żal i wielką pretensję do losu. Gdzie Pikusiu do Kaśki Kwiatek? – pomyślałem, żeby się zemścić na sobie za to, że jestem taki, jaki jestem, i nie jestem taki, jaki chciałbym być. Kiedy jednak

zastanowiłem się nad tym, jaki chciałbym być, okazało się, że wcale nie chciałbym być inny, niż jestem (może z wyjątkiem Pikusia i czerwienienia się), a więc chciałem być taki, jaki jestem. Czyli zamiast żałować, że nie jestem inny, niż jestem, musiałem po prostu przekonać Kaśkę Kwiatek, że taki, jaki jestem, jestem fajny. A potem jeszcze raz spisałem moje plusy i minusy, tym razem zaczynając od Pikusia, a kończąc na szóstym palcu u nogi, i nagle poczułem, że ogarnia mnie wielka radość i pomyślałem sobie – Kaśka Kwiatek zasługuje na kogoś takiego jak ja!



Fragment rozdziału: JAK SIĘ ODKOCHAĆ OD KAŚKI KWIATEK

Trzeciego dnia rano zebraliśmy się z chłopakami na przerwie, żeby trochę odpocząć od dziewczyn i w męskim gronie pogadać o sprawach, które naprawdę się w życiu liczą.

— Oglądaliście wczoraj Chelsea-Barcelona? – zaintonował Piotrek.

— Nooo! – odparliśmy chórem i nagle poczułem, czym jest męska wspólnota.

— Ale przy ostatniej bramce był faul, nie? – podchwyciłem i znowu chór odpowiedział:

— Nooo!

— Ale ten Ronaldinho jest niezły, nie? – dorzucił Marek

— Nooo! – odpowiedział chór.

Zanim jednak przebrzmiał pochwalny pomruk, ktoś spoza naszego kręgu bezceremonialnie palnął:

— Ja tam wolę Lamparda.

Odwróciliśmy się wszyscy i na moment odebrało nam mowę! Osobą wolącą Lamparda był nikt inny jak tylko... Kaśka Kwiatek! To się po prostu nie mieściło w głowie! Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby jakakolwiek dziewczyna śmiała zakłócić nasze męskie dyskusje.

— A co? Pewnie ładniejsza buzia? – rzucił pogardliwie Piotrek, który jako pierwszy otrząsnął się z szoku.

— Niż twoja na pewno – odcięła się Kaśka. – A poza tym technika ciut lepsza.

I jak gdyby nigdy nic oddaliła się w stronę babskiego kąta, gdzie, sądząc po piskach i chichotach, omawiano właśnie jakieś dziewczynskie sensacje.

Zamierzaliśmy zarechotać, ale jeden rzut oka na minę Piotrka wystarczył, żeby nas odwieść od tego zamiaru.

— Ktoś tu sobie za dużo pozwala! – warknął Piotrek, który w ogóle ciężko znosił krytykę, a już na punkcie swojej techniki piłkarskiej był szczególnie wrażliwy. – Trzeba ją nauczyć rozumu!

Obrona dobrego imienia Piotrkowej techniki nie leżała mi tak znowu bardzo na sercu, ale nagle poczułem w sobie coś w rodzaju męskiej solidarności. Obrażono jednego z nas, to tak jakby obrażono nas wszystkich!

— Tak, doigrała się! – powiedziałem groźnie. Potoczyłem wzrokiem po twarzach kolegów i dostrzegłem w nich żądzę zemsty. Niech ma! – mówiły ich oczy. – Za wszystkie upokorzenia! Za nieprzespane noce! Za przemądrzałe słowa! Za zarozumiałe uśmieški! Za wcinanie się w męskie sprawy! Nikt nie miał wątpliwości, że trzeba coś wymyślić. Coś, co raz na zawsze pograży Kaśkę Kwiatek i odkryje jej prawdziwą strachliwą, piszczącą, dziewczowatą naturę...

Autorem najlepszego pomysłu był, o dziwo, Rafał Zimek, o którym zawsze wiedzieliśmy, że jest wybitnie uzdolniony, ale z jego geniuszu nie było jak do tej pory specjalnego pożytku.

Dostarczenia dżdżownic podjął się Grzesiek Mikrus i trzeba przyznać, wywiązał się ze swojego zadania znakomicie, bo jeszcze nigdy wcześniej nie widziałem równie długich, tłustych i oślizłych robali. Było trochę kłopotów z wyznaczeniem wykonawcy najważniejszej części planu, polegającej na podłożeniu uroczej przesyłki wiadomej osobie. Ostatecznie padło na mnie. Trochę się bałem, czy dam radę, ale zadanie okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałem. Na początku długiej przerwy, kiedy cel ataku wyszedł na chwilę z sali, wyciągnąłem z kieszeni torebkę z dżdżownicami i przechodząc obok opuszczonej ławki Kaśki Kwiatek, niepostrzeżenie wysypałem glizdy na otwarty zeszyt, a następnie, niezauważony przez nikogo, oddaliłem się z miejsca akcji. Baliśmy się trochę, że zanim Kaśka wróci do sali, dżdżownice rozleżą się na wszystkie strony, co mogłoby osłabić cały efekt. Ale nie. Kaśka miała widocznie tylko jakąś krótką sprawę, bo zaraz wróciła do klasy. Siedzieliśmy wszyscy jak na rozżarzonych węglach, ale nikt nie patrzył w tamtą stronę, żeby się przypadkiem nie wydało, kto jest autorem spisku. Niektórzy udawali, że rozmawiają, ja w skupieniu pałaszowałem kanapkę, a wszyscy razem nie mogliśmy się doczekać upragnionego, przerażonego, dziewczynskiego: „aaaaaaaaaaaaa!”.

Paweł Beręsewicz, *Jak zakochałem Kaśkę Kwiatek*, Kraków 2010, s. 20–29 i fragment rozdziału: JAK SIĘ ODKOCHAĆ OD KAŚKI KWIATEK